

# LUCKY



editio  
red

# GOSIA LISIŃSKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Opieka redakcyjna: Barbara Lepionka

Redakcja i korekta: M.T. Media

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://editio.pl/user/opinie/luckye>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-2024-8

Copyright © Helion S.A. 2025

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

# ROZDZIAŁ 1

Poczułam uderzenie upału, kiedy tylko otworzyły się drzwi samolotu. Cofnęłam się, łapiąc oddech, więc zaniepokojony Jack zapytał, czy wszystko w porządku. Zerknęłam za siebie, na dwumetrowego ochroniarza i uśmiechnęłam się uspokajająco.

– Gorąco – mruknęłam, po czym stanęłam na schodkach.

Zawsze kiedy przylatywałam do Wielkiego Jabłka, lądowaliśmy na małym lotnisku pod Nowym Jorkiem. Bywałam tu tak często, że znałam na pamięć rozkład trzech niewielkich budynków, wystrój jedynego terminala i długie, puste pola wokół portu lotniczego. Oglądałam je, gdy jechaliśmy do miasta, i za każdym razem zastanawiałam się, czy to ja mam takie szczęście, że nikogo na nich nigdy nie widzę, czy po prostu nikt tam nie pracuje. Skoro jednak czasami porastały zbożami, a czasami czerniały ziemią, ktoś nad nimi czuwał.

Małeńki port mieścił się w tej samej odległości od Manhattanu co większe lotniska, a ja unikałam tłumów pasażerów. W moim przypadku zdecydowanie trudno o anonimowość. Zawsze znalazło się kilka osób, które wypatrzyłyby w tłumie Maggie Dalinsky, i nawet olbrzym pokroju Jacka mógł mieć problem z wszystkimi chcącymi

zrobić sobie selfika z gwiazdą. Przekleństwo i błogosławieństwo popularności. Dobra, w moim przypadku głównie przekleństwo. Nigdy nie zabiegałam o popularność. Dopadła mnie sama.

Czerwcowe słońce prażyło jak szalone, wpychając rozgrzane powietrze do nosa i ust. Jeszcze nim zrobiłam krok w dół, w kierunku płyty, pożałowałam, że nie przebrałam się w szorty. Dżinsy nieprzyjemnie oblepiały mi uda, podnosząc słupek na wewnętrznym termometrze mojego ciała o dobre pięć stopni. Cholera! W Krakowie padało, a temperatura nie przekraczała dwudziestu stopni i jakoś mi umknęło, żeby sprawdzić pogodę w NY.

Na szczęście przed schodkami czekała już limuzyna. Miałam nadzieję, że silnik pracuje, a klimatyzacja działa. Uśmiechnęłam się na tę myśl i dopiero wtedy skupiłam wzrok na jasnowłosym mężczyźnie opierającym się o maskę bentleya. To nie był żaden z naszych kierowców. W ogóle nie wyglądał na kierowcę. Takiego faceta trudno nie zapamiętać. Z metr dziewięćdziesiąt wzrostu, szczupły, ale umięśniony. Szerokie ramiona, wąskie biodra i kaloryfer na brzuchu. T-shirt kleił się mu do ciała, więc zwłaszcza tego ostatniego nie dało się ukryć. Tak jak nie dało się ukryć kabury zapiętej pod pachą i wyrazu zniecierpliwienia na twarzy. Nie maskowały go nawet duże ciemne okulary, w srebrnych metalowych oprawkach, które z niewiadomych przyczyn od razu skojarzyły mi się z Brudnym Harrym.

– Mag... – Jack zareagował, widząc broń u nieznajomego. O sekundę za późno.

Wiele razy potem zastanawiałam się, jak to się stało, i nigdy nie miałam pewności. Chyba Jack próbował mnie pociągnąć albo pchnąć... diabli wiedzą. Grunt, że w efekcie potknęłam się i niemal runęłam w dół. Łapiąc równowagę, osunęłam się o trzy stopnie i upadłam na tyłek.

I to uratowało mi życie.

Usłyszałam za sobą hałas przypominający uderzenie ciężkiego przedmiotu o metalową podłogę. Nie zdołałam się jednak odwrócić, by to sprawdzić, bo mężczyzna, który jeszcze sekundę wcześniej opierał się o samochód, pokonał odległość między nami w dwóch susach. Złapał mnie w pasie i ściągnął ze schodków. Potem pchnął na ziemię tuż przy tylnym kole bentleya i przycisnął swoim ciałem.

– Nie ruszaj się! – wrzasnął i wyszarpnął pistolet z kabury.

Nie ruszałam się. Właśnie zrozumiałam, co się przed chwilą stało. Wcisnęłam głowę pod umięśnione ramię i nie mogłam oderwać oczu od Jacka siedzącego na schodkach. Wyglądał trochę tak, jakby usiadł ze zmęczenia. Jego duża, nieładna twarz zastygła w wyrazie zaskoczenia. Ciemne okulary zsunęły się z nosa i zatrzymały na jego czubku, zupełnie jakby Jack opuścił je, żeby na coś spojrzeć. Jedna ręka Jacka zacisnęła się na barierce, a dłoń drugiej wciąż próbowała wyciągnąć broń z kabury przypiętej do paska. Pomiędzy nimi, na piersi, powiększała się plama krwi barwiąca różową

koszulę. Na samym środku wielkiej klatki piersiowej, w miejscu, w którym jeszcze przed momentem biło serce.

Kilkanaście godzin temu, kiedy wystrojony w róż Jack przyjechał po mnie do domu kuzyna, Bartek parsknął śmiechem. Tamten obraz: bezkarkiego olbrzyma w przyciasnej różowej koszuli wysiadającego z trudem z wynajętego forda na moment przysłonił to, co teraz widziałam. Zaraz jednak wróciła rzeczywistość.

Przez nieskończenie długą chwilę niewidzące oczy Jacka patrzyły na mnie, a później olbrzymie ciało zaczęło się zsuwać po stopniach samolotu.

– Nie ruszaj się! – powtórzył jasnowłosy mężczyzna, bo gdy zobaczyłam głowę ochroniarza stukającą o schodki, zapragnęłam mu pomóc.

Warknięcie wyrwało mnie z odrętwienia. Odwróciłam wzrok od Jacka i spojrzałam na blondyna. Wciąż przyciskał mnie do samochodu, osłaniając własnym ciałem niczym tarczą. W dłoni dzierżył pistolet i nerwowo rozglądał się wokoło.

Zapragnęłam krzyczeć, że przecież Jack, że trzeba go ratować, że... Nie zdołałam, bo jasnowłosy mnie uprzedził.

– W kieszeni mam telefon. Wyjmij go – polecił, nie patrząc na mnie. – PIN to dwanaście zero dziewięć. Kiedy odblokujesz, wciśnij dwójkę... No już! – podniósł głos, gdy nie zareagowałam.

Wykonałam polecenie. Po dwóch sygnałach w słuchawce rozbrzmiał schrypnięty głos:

– Coś znowu nabroił?

– Powiedz: dziesięć sto piętnaście i podaj adres – zażądał blondyn.

Zrobiłam, jak kazał. W odpowiedzi usłyszałam ciężkie przekleństwo. I mężczyzna po drugiej stronie się rozłączył.

– Dobra – kontynuował mój samozwańczy ochroniarz. – Zdaje się, że na razie samochód nas zasłania. Ale skurwiel może zmienić miejsce. – Sięgnął do klamki, po czym lekko nią szarpnął. Nie przestawał przy tym omiatać okolicy spojrzeniem.

Drzwi bentleya otworzyły się bezgłośnie.

– Spróbuj się wczłogać do środka. Nie unosz głowy. I zostań na podłodze. Rozumiesz?

Nie odpowiedziałam.

– Rozumiesz?!

– A Jack? – Wskazałam schodki samolotu. Nie poznawałam swojego głosu.

– Jemu już nie pomożemy. Właż do samochodu.

– Ale...

– Do samochodu! Słyszysz?!

– Taaa – syknęłam.

Po chwili dokonywałam niemożliwego, przeciskając się między twardym ciałem mężczyzny a karoserią tak, żeby nie wychylić się zza prowizorycznej tarczy, jaką stanowił samochód. Nigdy nie miałam zbyt silnych rąk, a teraz to one musiały dźwignąć znaczną część ciężaru mojego ciała. Przeraziłam się, że nie zdołają go utrzymać, że padnę na

twarz, a tamten skurwił, jak go nazwał blondyn, trafi mnie, strzelając pod limuzyną. Ten strach na moment mnie sparaliżował. Straciłam oddech i zamarłam, kucając z palcami zaciśniętymi na progu bentleya.

– Co jest? – Głos mężczyzny był kompletnie pozbawiony ciepła.

Milczałam, wbijając wzrok w półmrok samochodowej podłogi.

– Właź!

Nie drgnęłam.

– Właź, do cholery!

Nadal kucałam. Bardzo, naprawdę bardzo chciałam wykonać to polecenie, ale ogarnęła mnie taka panika, jakiej jeszcze nigdy nie zaznałam. Przestałam nad sobą panować. Po prostu tam kucałam, łapiąc szybkie, płytkie oddechy. Nie myślałam. Właściwie przestałam cokolwiek słyszeć czy widzieć. Cały mój świat skupił się na próbie złapania tchu.

Mężczyzna głośno przeklął, po czym chwycił mnie za tyłek i wcisnął do samochodu. Sam też wpadł do środka, przygważdżając mnie do podłogi bentleya. Jego ciężar wypchnął powietrze z moich płuc i w końcu wyrwał mnie z odrętwienia. Szarpnęłam się nerwowo. Tylko raz, bo blondyn bezceremonialnie mnie docisnął.

– Przestań, do jasnej cholery! – warknął mi do ucha. – Uspokój się!

– Nie mogę oddychać – wysapałam.



Podniósł się o kilka cali, a później stoczył, by opaść obok mnie. Przez chwilę czułam ciepło jego ciała tuż obok swojego i zapragnęłam się do niego przytulić. Absurdalna myśl, skoro nawet go nie znałam. Całkiem absurdalna, ale w tamtej chwili wydała mi się zupełnie oczywista. W półmroku samochodu nie widziałam twarzy mojego obrońcy ani wyrazu jego oczu, kiedy zdjął okulary, a mimo to strasznie chciałam do niego przylgnąć. Potrzebowałam tego.

– Załóż to! – usłyszałam, a potem coś wylądowało na mojej piersi. – Tylko się przy tym nie podnoś. Kevlar osłoni ci tors, ale nie głowę.

Nie zapytałam, skąd w naszym samochodzie kamizelka kuloodporna. I nawet nie dlatego, że nie zamierzałam. Nie zdążyłam, bo faceta już nie było w limuzynie. Wysunął się tak szybko, jakby w ogóle nie wsiadał, po czym zatrzasnął drzwi. Pochylał się teraz oparty o nie, zasłaniając niewielką ilość światła, która mogłaby się przecisnąć przez przyciemniane szyby.

Zakładając kamizelkę, rozmyślałam o moim bracie i jego, jak wcześniej sądziłam, dziwacznej paranoi. Tak ogólnie, żeby czymś zająć głowę i nie dumać nad wszechobecnym pogłosem kul uderzających o karoserię. Bo tak, domyślałam się, co to za dziwne plaśnięcia, jakby ktoś uderzał kamieniami o maskę. Nigdy wcześniej ich nie słyszałam, ale i tak wiedziałam. Żeby więc znowu nie wpaść w panikę, myślałam o Darku. O tym, jak kłócił się ze mną, że opancerzony bentley jest nam potrzebny, bo ja jestem gwiazdą kina...

a przecież wiadomo, ilu świrusów łązi po tym świecie z nadzieją, że będą drugim Markiem Chapmanem... I Dariusz Dalinsky jako adwokat nie zawsze spotykał tylko świętych. Pamiętałam tę kłótnię i to, jak powiedziałam bratu, że dobrze, że aktualnie sypia z psycholożką, bo przynajmniej na leczeniu zaoszczędzi.

Kolejne plaśnięcie i kolejne...

Jak to dobrze, że mój brat akurat wtedy miał w nosie moje argumenty. Jasne, jeśli wyjdę z tego cało, nie omieszka zapewne mi tego wypomnieć. Powie tym swoim tonem mądrzejszego starszego brata: „Słuchaj mnie, bo ja zawsze mam rację”. Tak, na pewno to właśnie powie, odbierając mi na przyszłość argumenty.

Plaśnięcie i jeszcze jedno...

Czemu ten mój gość nie strzela? Przecież miał broń. Dlaczego?

Rany! Wiedziałam dlaczego. Mój mózg pracował na zwolnionych obrotach, ale i tak odgadłam, że napastnik strzela z daleka. Wystarczyło posłuchać. Huk wystrzałów rozbrzmiewał z opóźnieniem i był poważnie stłumiony. A skoro to snajper, pistolet jasnowłosego przystojniaka nie stanowił dla niego zagrożenia. Szkoda więc kul.

Za tą myślą przyszła inna: po co on tam stoi? Przecież snajper może go trafić!

Panika wracała szybko i oddech znów mi się spłycił. Myśl, że zostanę sama w tym samochodzie, sprawiła, że lodowate zimno przesunęło się po moim kręgosłupie.

Nieważne, kim był blondyn i jak bardzo przypadkowym stał się aniołem stróżem. Potrzebowałam go.

Dlatego przesunęłam się ku drzwiom i uchyliłam je trochę.

– Wsiadaj! – zażądałam schrypniętym głosem.

– Nie wychylaj się, cholera!

Spróbował ponownie zamknąć samochód, ale mu nie pozwoliłam.

– To kuloodporny wóz – warknęłam. – Wsiadaj do środka. Tą pukawką i tak niczego nie wskórasz!

Przez chwilę nic się nie działo, a gdy już zamierzałam wrzasnąć, mężczyzna wsunął się do środka. I błyskawicznie zatrzęsął drzwiami.

– Leżysz na podłodze – rozkazał, a sam usiadł na kanapie. – Nie ruszasz się z niej. Rozumiesz? – Położył uzbrojoną broń na udzie, uniósł okulary i wbił we mnie wzrok. Rozumiesz? – powtórzył zimno.

Odetchnęłam głęboko. Teraz, kiedy oboje byliśmy w miarę bezpieczni, panika ustępowała. I wróciła stara dobra Maggie Dalinsky. Najbardziej pyskata gwiazdka Hollywood.

– Mam IQ sporo powyżej średniej, więc tak, rozumiem – burknęłam. – Rozumiem też, że albo wyjątkowo wstałeś lewą nogą, albo generalnie jesteś taki uroczy. Weź spasuj, co? To nie ja wynajęłam cyngla, żeby mnie ustrzelił, kiedy tylko wyląduję w NY.

Nie odpowiedział. Przemknął wzrokiem po okolicy, zatrzymując się na ułamek sekundy na widoku za każdym

z okien. W końcu wrócił do mnie i popatrzył w jakiś taki dziwny sposób. Nie przywykłam do takiego spojrzenia. Odkąd wyrosły mi piersi, mężczyźni, których spotykałam, patrzyli zawsze tak samo. I zupełnie inaczej niż ten tu.

– Powinniśmy zadzwonić po policję – wymamrotałam spłoszona. Naprawdę nie przywykłam do takiego traktowania.

Wciąż milczał, obserwując okolicę. Ignorował mnie przy tym dość ostentacyjnie. Pozornie ostentacyjnie, bo kiedy próbowałam usiąść, pchnął mnie ponownie do pozycji horyzontalnej.

– Leż!

– Niby czemu?

– Ponoć masz IQ powyżej średniej – zakpił. – Więc może użyj tej swojej wybitnej inteligencji.

Przez chwilę wahałam się między pragnieniem kopnięcia go w goleń a ugryzienia w łydkę. Ostatecznie jednak powstrzymałam się od obu. Z trudem, ale się powstrzymałam. To nie było dobre miejsce, a już na pewno to nie był dobry czas, żeby bić się z obcym facetem. Zwłaszcza z takim, który chyba uratował mi życie. Nie. Na pewno uratował mi życie. Gdyby mnie nie ściągnął z tych schodków, siedziałabym tam teraz razem z Jackiem.

Cholera! Na wspomnienie wielkoluda łzy napłynęły mi do oczu. Odwróciłam głowę, bo wdzięczność wdzięcznością, ale nie pozwolę, żeby jakiś obcy człowiek widział moją słabość.

Przez kilka sekund siedzieliśmy w kompletnej ciszy.

– Przestał strzelać – zauważyłam nagle.

Blondyn nie skomentował, ale dostrzegłam minimalną zmianę w jego zachowaniu. Jakby bardziej się spiął, a jego wzrok szybciej przesuwał się z okna na okno. Najwyraźniej ustanie ostrzału zaniepokoiło go bardziej niż mnie. Ja odechnęłam, on się denerwował.

– Słuchaj... – zaczęłam.

– Sza! – Położył palec na ustach i poderwał uzbrojoną rękę.

Zamilkłam, obserwując mężczyznę. Nigdy nie widziałam nikogo tak skoncentrowanego. Gdyby nie ta koszmarna sytuacja, to byłoby naprawdę fascynujące. Ściągnięte rysy twarzy, zmrużone oczy, skupione, a jednocześnie wszystko-widzące, napięte mięśnie, palce zaciśnięte na pistolecie. Fascynujące.

Tak się zapętliłam na zachwycaniu się moim aniołem stróżem, że dopiero po kilku sekundach pojęłam, dlaczego jest taki zdenerwowany. Jeśli snajper przestał strzelać, mógł się szykować do bezpośredniego ataku. To dlatego blondyn kazał mi leżeć na podłodze, a sam nie przestawał monitorować okolicy.

Tym razem panika nie wróciła. W przedziwny sposób obecność jasnowłosego przystojniaka nadal działała kojąco.

A jeszcze bardziej kojąco podziałał dźwięk, który właśnie wówczas usłyszałam. Najpierw cichy, odległy i narastający z każdą sekundą. Dźwięk syren policyjnych. Bardzo wielu syren. Najpiękniejsza melodia, jaką kiedykolwiek słyszałam.

## ROZDZIAŁ 2

Cztery godziny później, kiedy adrenalina już opadła, a mój organizm przewyciężył następujące po niej zmęczenie, siedziałam przy zawalonym teczkami biurku i patrzyłam przez przeszkłone wejście do pokoju obok, jak potężny ciemnoskóry mężczyzna ochrzania mojego wybawcę. Mogłam już normalnie oddychać, ręce przestały mi się trząść i nie płakałam na każde wspomnienie ciała Jacka pakowanego do czarnego worka. Staralam się o tym nie myśleć i w tym celu skupiałam wzrok na akcji w pomieszczeniu, na którego drzwiach napisano *Kapitan L. Travis*. Tak nazywał się ciemnoskóry mężczyzna. Zdaje się, że był przełożonym przystojnego blondyna. Odkąd Travis pojawił się na lotnisku, wciąż rozstawiał wszystkich po kątach. A gdy dotarliśmy na komisariat, zamknął się z blondynem i rozpoczął przedstawienie dla reszty policjantów.

Słyszeliśmy pojedyncze słowa, ale z całą pewnością nie było w tym zasługi kapitana – to szklane ściany pochłaniały dźwięki znacznie lepiej, niż można się było spodziewać. Travis wrzeszczał w najlepsze, wymachując przy tym łapami. Teraz, gdy stali obok siebie, dostrzegłam, że wbrew pierwszemu wrażeniu przełożony komisariatu nie jest

wyższy od mojego wybawcy, a jedynie się taki wydaje przez różnicę w posturze.

– Chce się pani czegoś napić? – zapytał grzecznie przystojny Latynos, siadając obok mnie.

Poznałam jego głos. To do niego kazał mi zadzwonić blondyn. Latynos nie wyglądał na policjanta. Przeciwnie: w swoich czarnych bojówkach, koszulce opinającej imponujące mięśnie i złotym łańcuchu wiszącym na potężnym karku sprawiał raczej wrażenie kogoś, kto starannie unika stróżów prawa.

– Nie, dzięki – odpowiedziałam, wpatrując się przez chwilę w kilkucentymetrowy złoty krzyżyk zdobiący łańcuch mężczyzny. – Dlaczego oni się kłóca?

Latynos uśmiechnął się krzywo.

– Travis nie przepada za Stantonem. Właściwie za nikim nie przepada. – Uśmiech się pogłębił.

– Nazywa się Stanton? – Przeniosłam wzrok na blondyna.

– Nie przedstawił się pani?

– Nie. I jestem Maggie. *Pani* brzmi, jakbym była starą babą. Taką po czterdziestce.

Parsknął śmiechem.

– Fakt. Po czterdziestce to już wiek emerytalny. – Chichotał dalej.

Wzruszyłam ramionami. Spodobał mi się jego śmiech. Szczery i głośny. Też się uśmiechnęłam, a on dodał:

– Nazywam się Abel Diaz – podał mi rękę – i jestem partnerem Stantona.

– Abel? Ładnie. – Uścisnęłam jego dłoń. – Chyba że on ma na imię Kain.

– Nie. – Oczy mężczyzny błyszczały rozbawieniem. – Kenneth.

– Ken? – Przesunęłam powoli wzrokiem po szczupłej, umięśnionej sylwetce Stantona, który najwyraźniej uznał, że wystarczy już pokornego znoszenia opieprzu, bo również zaczął wymachiwać rękami. Obejrzałam jego jasne włosy, szerokie ramiona i wąskie biodra. Przypomniałam sobie jego twarz. Ładny był. Całkiem ładny. – Nawet pasuje.

Abel ponownie zachichotał.

– Jezu! – sapnął po chwili. – Tylko mu tego nie mów. Jest na tym punkcie drażliwy.

– Na punkcie tego, że wygląda jak żywa wersja ukochanego plastikowej lali, czy z powodu nadmiernej liczby nastoletnich fanek o imieniu Barbara?

Tym razem śmiech Diaza ściągnął uwagę innych i kilka par oczu śledzących dotychczas dramat za szklanymi ścianami zwróciło się ku nam. Latynos śmiał się przez kilka sekund, ocierając co chwilę oczy, bo najwyraźniej rozbawiłam go do łez.

– Oj, Maggie – powiedział wreszcie. – Widziałem ze dwa twoje filmy, ale wiesz co? Od dzisiaj będę wiernym fanem. Żadnego już nie przepuszczę.

– Nie chcę cię odwozić od tego zajebistego pomysłu... – Mrugnęłam. – Ostatecznie dostaję procent od biletów, ale ja rzadko grywam w komediach.



- Szkoda, dziewczyno. Masz talent.
- Tak mówią – potaknęłam. – Ale tylko ci z odpowiednim poczuciem humoru.
- *Odpowiednim?*
- Wrednie złośliwym. Jak moje. – Wyszczrzyłam się. Pokiwał głową. Nie komentował oczywistego.
- Powiedz... – Ponownie spjrzałam na kłócących się mężczyzn. – Chodzi tylko o to, że kapitan go nie lubi, czy Kenny odpieprzył jakąś prywatę na tym lotnisku?
- Prywatę? – Abel przestał się uśmiechać i przez moment myślałam, że się zezłościł.
- No wiesz... Robił na lewo w godzinach pracy albo co. Darek, mój brat, czasami wynajmuje policjantów...
- Rozluźnił się i znów się uśmiechnął.
- Po pierwsze, Kenneth nie odwala prywaty, jak to określiłaś. – Mimo uśmiechu głos Diaza ochłodził o kilka stopni. – To najuczciwszy policjant, jakiego znam...
- Nie to...
- A po drugie – nie pozwolił mi dokończyć – wkurwił się, bo to Travis kazał mu pojechać na lotnisko i eskortować cię. Ponoć twój brat jest kumplem gubernatora, więc ten oświadczył z żądaniem takiej przysługi.
- Rozmawiałam z bratem, kiedy tu jechaliśmy, i nie wspominał... – zaczęłam.
- Diaz pokręcił głową.
- A brat zawsze cię o wszystkim informuje?
- Chciałabym – burknęłam.

Darek miał tę nieznośną manierę tatuśka, któremu się wydaje, że wie wszystko, a już na pewno, że tylko on wie, co jest dobre dla jego dziewięć lat młodszej siostry. Nasi rodzice zginęli, kiedy miałam jedenaście lat, i od tamtej chwili on mnie wychowywał. Wbrew oczekiwaniom robił to jak stary wyga. Żadnych szaleństw, twardo ustalone granice. W porównaniu z nim tata był najbardziej wyluzowanym ojcem *ever*. Miałam swoją teorię na ten temat, bo pamiętałam, jak Darek dorastał. Właściwie nie bywał w domu między szesnastym a osiemnastym rokiem życia. I pewnie, pamiętając swoje szaleństwa, zadziałal wyprzedzająco.

– Czyli kłóć się o mnie? – kontynuowałam, zerkając na Diaza.

Potaknął w milczeniu. Fajny gość: nie kręcił, nie słodził. Trochę jak mój brat, który zawsze twierdził, że prawda, nawet najboleśniejsza, jest lepsza niż słodkie kłamstwa.

– Aha.

Wstałam.

– Co zamierzasz? – zainteresował się Abel.

– Ten twój partner nie jest najmilszym gościem na świecie. – Uśmiechnęłam się krzywo. – Ale uratował mi życie i nikt nie będzie po nim jeździł z mojego powodu.

Diaz nie próbował mnie powstrzymywać. Przeciwnie: rozparł się na krześle i też się wyszczerzył.

– Nie najmilszym?

– Prawdę powiedziawszy, był jak wrzód na tyłku – odpowiedziałam, po czym ruszyłam w stronę drzwi z napisem *Kapitan L. Travis*.

Otwierałam je z mocnym postanowieniem ratowania mojego wybawcy. Gdzieś tam w romantycznej łepetynie wyobraziłam sobie, jak ustawiam do pionu kapitana, a Ken patrzy na mnie z co najmniej takim samym uczuciem, jak ten z kreskówki o wiadomej lalce właśnie na nią. Taki miałam zamysł i przekonanie. A potem otworzyłam drzwi i usłyszałam z ust mojego niedoszłego wielbiciela:

– Każesz mi niańczyć rozpuszczoną gówniarę!

Nie byłam pewna, czy gdyby wiedział, że to do mnie dotrze, powstrzymałby się. Może tak, może nie. Nie miałam pojęcia i niewiele mnie to interesowało. Usłyszawszy te słowa, uświadomiłam sobie, dlaczego nie potrafię nikomu zaufać. Bałam się. Tak po prostu się bałam, że mogłabym się z kimś takim związać. Z kimś, kto chociaż wcale mnie nie zna, ocenia mnie po rolach, które odgrywałam. Uzna, że wie, kim jestem, bo zobaczył mnie w kinie i przeczytał jakieś durne artykuły w śmieciowych pismach albo plotkarskich portalach. Bałam się, że zaufam komuś takiemu jak Stanton.

– Będziesz, kurwa, niańczył, kogo ci każę! – W przeciwieństwie do stojącego do mnie tyłem Kena jego szef doskonale wiedział, że słyszę. Widział mnie. – Jeśli będzie trzeba, potrzywasz ją za rękę w pierdolonym kiblu! Od tego, kurwa, jesteś! Od wykonywania moich rozkazów! A jak

mówię, że ktoś ma zostać nietknięty, to, kurwa, ma zostać nietknięty! I on, i cała jego pierdolona świta! Nawet jakiś bezmózgi kark!

Zacisnęłam pięści. Wspomniałam koronera zasuwającego plastikowy worek, potem różową koszulę Jacka z powiększającą się plamą krwi, a wreszcie wczorajszy poranek i Bartka parsającego śmiechem...

– Nazywał się Jack North – powiedziałam spokojnie. – I ukończył filozofię na Berkeley. Z całą pewnością był sporo inteligentniejszy niż niektórzy tu obecni. A już na pewno miał więcej godności, taktu i szacunku do ludzi.

Obaj mężczyźni wgapiali się we mnie kompletnie zaskoczeni. Każdy z innego powodu, ale ich motywy były mi obojętne. Przez chwilę patrzyłam na nich w milczeniu. Głównie w takim celu, żeby im się utrwaliło to, co powiedziałam. Miałam już w nosie ich i powody sporu. Zobojętniało mi nawet to, co Stanton o mnie myśli. Nie mogłam jednak pozwolić, żeby któryś obrażał Jacka. Jack był nietykalny.

Odwróciłam się, ale ledwie zrobiłam krok, Travis zastąpił mi drogę.

– Gdzie się pani wybiera? – warknął.

– To nie pańska sprawa – odpowiedziałam tym samym tonem. Próbowałam go wyminąć i dostać się do drzwi, ale skutecznie je zastawił. Nie zamknął ich jednak, więc każdy w pobliżu mógł usłyszeć moje gniewne słowa.

– Niestety moja – nie ustępował Travis. – Nigdzie się pani nie ruszy, póki na to nie pozwolę!

Był wielki, miał ze sto dwadzieścia kilo wagi i naprawdę wredny wyraz twarzy. Przede wszystkim jednak był gliniarzem. Kapitanem na tym posterunku. Kogoś innego mógłby zastraszyć. Pewnie by mu się to udało, bo ludzie generalnie nie czują się pewnie w obecności policji. Każdy ma jakiś grzeszek na sumieniu, a nawet jeśli nie, to pozostaje takie naturalne przeświadczenie, że coś tam kiedyś... Dlatego ktoś inny pewnie by się wystraszył, ale ja byłam siostrą Darka Dalinsky'ego i znałam swoje prawa jak każda wychowanka dobrego prawnika.

– Jestem zatrzymana? – zapytałam więc z błyskiem w oku.

Travis nie odpowiedział. Zmrużył powieki i wbił we mnie wzrok. Idioci nie zostają kapitanami policji w Nowym Jorku, więc zapewne i on był raczej bystry. Wiedział, że aresztowanie Maggie Dalinsky nie wchodzi w grę. Nawet jeśli istniałyby jakieś powody, musiałby to porządnie przemyśleć, a żadnych nie znał. Nie zatrzymuje się dziewczyny, dla której gubernator wyprawia prozione obiady, a tym bardziej takiej, której brat zajmował się sprawami wiceprezydenta, zanim ten objął urząd.

Z tej przyczyny Travis milczał.

– Świetnie. – Pokiwałam głową. – W takim razie proszę mnie przepuścić.

Mężczyzna wciąż stał i patrzył na mnie z tym samym wyrazem twarzy. I oczywiście się nie ruszył.

Szykowałam się już do kłótni, ale wtedy zadzwonił telefon kapitana. Wyciągnął go z kieszeni, zerknął na wyświetlacz, po czym odebrał krótkim:

– Travis.

Wydawał się obojętny, słuchając. Wciąż tarasował swoim ciałem drzwi i nieustannie patrzył na mnie. Milczał, póki ktoś po drugiej stronie nie skończył. Wówczas powiedział tylko:

– Tak jest. – I się rozłączył.

Ponownie zapadła cisza. Trwała kilka sekund, po czym kapitan w końcu przeniósł wzrok na porucznika.

– Zabierzesz pannę Dalinsky do bezpiecznego domu – polecił. – Tam poczekacie na jej ochronę albo ludzi z FBI.

Stanton popatrzył na mnie, a później na swojego szefa.

– Nie – powiedział zimno.

Travis błysnął zębami w parodii uśmiechu.

– Ja nie pytam, poruczniku – oświadczył.

– A ja mam coś do powiedzenia? – zapytałam.

Grymas kapitana się pogłębił.

– W sumie, panno Dalinsky, wołałbym, żeby się pani nie zgodziła. To by mi pozwoliło oddzwonić do gubernatora i powiedzieć, że jego pupilka ma w dupie jego żądania i swoje bezpieczeństwo. Mógłbym umyć ręce i mieć z głowy pierdołoną ulubienicę Ameryki. – Wzruszył ramionami i odsunął się od drzwi, dając mi wreszcie możliwość wyjścia. – Oczywiście pozostaje szansa, że gubernator uparłby się, żebym panią powstrzymał od popełnienia samobójstwa. Wtedy

zmuszony byłbym panią aresztować. – Teraz naprawdę się uśmiechnął. – Czy muszę podkreślać, jaką frajdę by mi to sprawiło?

Nie zapytałam, na jakiej podstawie zamierzał mnie zamknąć, bo przecież coś na pewno by się znalazło. Darek wielokrotnie opowiadał o nadużyciach w policji. Nowojorski gliniarz nie odważyłby się zatrzymać Maggie Dalinsky. Nie sam. Mając jednak poparcie gubernatora... To zupełnie inny temat.

Spojrzałam na Stantona. Wyglądał jak ktoś, kto idzie do dentysty i właśnie sobie uświadomił, że nie ma pieniędzy na znieczulenie, ale i tak musi zrobić leczenie kanałowe. Byłoby mi go żal, gdyby nie to, co usłyszałam.

– Dobrze. – Uśmiechnęłam się promiennie do Trávisa. – Jeden telefon i będę do dyspozycji pana Stantona.

\* \* \*

Zrobienie karczemnej awantury bratu przez telefon tak, żeby nie usłyszało tych słów kilkunastu policjantów obserwujących każdy mój ruch, okazało się na tyle trudne, że ostatecznie skończyło się tylko na wieloznacznym warknięciu. Darek oczywiście niezbyt się tym przejął. Nie pierwsze i nie ostatnie warknięcie, które usłyszał i które zignorował. Przypomniałam mu grzecznie, że nie mam już jedenastu lat i nie ma prawa wydzwaniać do gubernatora za moimi plecami. A potem zażądałam, żeby zadzwonił do Duckiego, by ten odwołał polecenie, które wydał Travisowi.

– Nie – brat stanowczo odmówił.

– Kurde, Darek!

– Co *kurde, Darek?! – Tym razem on podniósł głos. – Czy przypadkiem ktoś do ciebie nie strzelał?! Jasna cholera, Gośka! – Tylko on tak się do mnie zwracał i tylko wtedy, gdy chciał mi przypomnieć o rodzicach, naszych korzeniach i o tym, że musiał pogodzić studia i pracę z wychowywaniem siostry. Zawsze tym jednym słowem ustawiał mnie, jak chciał. Teraz też. – Oglupiałaś do reszty?! Jack nie żyje!*

– Wiem – burknęłam cicho. – Byłam przy tym.

Usłyszałam, jak brat odetchnął głęboko, żeby się uspokoić.

– Sorry, siostra. – Złagodniał. – Po prostu się boję.

– Uhm. – Pociągnęłam nosem. – Ja też, ale mogę tu poczekać na naszych ludzi. Kogoś przecież tutaj mamy.

– To nie takie proste. Niewiele osób wiedziało, o której i gdzie lądujesz, a przecież ktoś na ciebie czekał. Nie ufam już tym ludziom. Muszę znaleźć kogoś nowego. Johnny mi pomoże.

Johnny Corby, kolega Darka ze studiów, miał jedną z największych agencji ochrony na Wschodnim Wybrzeżu. Brat ufał mu jak mało komu.

– Do tego czasu – kontynuował Darek – twoją ochroną zajmą się nowojorscy gliniarze. Duckie osobiście prosił o najlepszego człowieka.

– Zajeście – wymamrotałam. Milczałam przez chwilę, po czym podzieliłam się z bratem refleksją: – To wszystko wydaje się bez sensu. Jestem tylko aktorką.



– Lennon był tylko muzykiem – przypomniał mi.

Zmilkzałam, bo i co miałam powiedzieć? Wariaci są wszędzie.

– Bądź grzeczną dziewczynką, siostrzyczko, i słuchaj panów policjantów...

– Daruj sobie ten protekcyjnalny ton – warknęłam.

Zaśmiał się cicho. Wiedziałam, że mówi to, żeby odsunąć moje myśli od wydarzeń tego dnia, ale nieodmiennie reagowałam złością na przemądrzały ton, a złość świetnie równoważyła strach. I zapewne też z tego powodu dodał po chwili:

– Ponoć ten policjant... porucznik... – zawahał się, szukając w pamięci nazwiska – ...Stanton to kawał ciacha. Przynajmniej Duckie tak mówił.

– Od kiedy gubernator jest gejem?

– Nie jest. Za to jego siostra ma słabość do gliniarzy. To jej słowa. Ma rację?

Spojrzałam przed siebie, na Kennetha Stantona, który przy swoim biurku pił kawę z dużego kubka z logo nowojorskiej policji. Bella Dukakis z całą pewnością miała rację.

– Coś się zmieniło? – wyzłościwiłam się. – Zmieniasz orientację i jesteś zainteresowany? Mogę zapytać, czy też woli chłopców.

– Skarbie. – Mój braciszek modulował teraz głos. – JA z całą pewnością nie potrzebuję swatki.

To prawda. Nie potrzebował. Od kilku lat pojawiał się w wielu czasopismach, stale na szczycie najbardziej

pożądanych kawalerów, i nie spotkał dotychczas kobiety, która by mu odmówiła. Nie sądzę też, by znalazł się taki mężczyzna. Oczywiście właściwej orientacji.

– Więc skąd to pytanie o pana Stantona? – zaciekawiałam się.

– Porucznika, siostra – poprawił mnie brat. – Pamiętaj o tym. – Na moment spoważniał, ale zaraz w jego głosie ponownie pojawiły się nuty rozbawienia. – Skoro już masz być zamknięta z policjantem, to chyba lepiej, żebyś się mogła przy tym dobrze bawić?

Słuchałam brata i jednocześnie nie odrywałam wzroku od omawianego obiektu. Stanton chyba to wyczuł, bo popatrzył na mnie. I znowu miał ten stomatologiczny wyraz twarzy.

– Jasne – burknęłam. – Zaraz po kanałówce.

– Co?!

– Nieważne. Dzwon do Johnny’ego. Mam nadzieję, że szybko się zobaczymy.

– Ja też. Odezwę się, kiedy już będę wiedział, co i jak. Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Kończyliśmy tym wyznaniem każdą rozmowę i każde spotkanie, odkąd zginęli rodzice. Tamtego dnia Darek wyszedł z domu, trzaskając drzwiami. Pokłócił się o coś z tatą, a mama zawsze konsekwentnie popierała męża, nawet gdy nie zgadzała się z jego zdaniem. Dlatego ostatnie słowa, jakie usłyszała od syna, to „Jasna cholera!”. Z kolei

ja zawsze trzymałam sztamę z bratem, więc nie odzywałam się do nich, kiedy odstawiali mnie do szkoły. Żadne z nas wtedy nie przypuszczało, że nie będziemy już mieli okazji wyznać rodzicom, jak bardzo ich kochamy.

A później, gdy w milczeniu słuchaliśmy, jak kolejna garść ziemi uderza o wieko trumny, Darek wziął mnie za rękę i pierwszy raz powiedział „Kocham cię”. Odwzajemniłam się tym samym i tak już zostało. Bez względu na to, jak się na siebie złościliśmy, nigdy nie zapominaliśmy, że się kochamy.

Z bolesnym westchnieniem schowałam telefon do torebki i ruszyłam w stronę porucznika Stanton. Mijając przeszklony pokój, dostrzegłam w szybie swój wyraz twarzy i ledwie powstrzymałam chichot. O, najwyraźniej nie tylko Kenny wybierał się do dentysty.

Stałam przy jego biurku z rozbawieniem drżącym na wargach i oświadczyłam:

– Jestem do dyspozycji, poruczniku Stanton.

Nie odwzajemnił uśmiechu. Przeciwnie: skrzywił się, po czym wstał i gestem pokazał mi wyjście. Zapowiadało się cudownie.



# PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA  
**Helion** 

## MAGGIE JEST GWIAZDĄ. KAŻDY ZNA JEJ TWARZ. KAŻDY JĄ PODZIWIĄ. KAŻDY UWIELBIA... A MIMO TO KTOŚ CZYHA NA JEJ ŻYCIE

Maggie Dalinsky w dzieciństwie spotkała prawdziwą tragedię – była małą dziewczynką, gdy straciła rodziców. Na szczęście opieki nad nią mógł się podjąć starszy brat. Minęły lata. Piękna Maggie robi karierę w świecie filmu. Młoda aktorka jest powszechnie kochana, a jednak Dariusz Dalinsky z jakiegoś powodu obawia się o bezpieczeństwo siostry. Upiera się, by z lotniska w Nowym Jorku odebrać ją opancerzony, kuloodporny Bentley...

Szybko się okazuje, że Dariusz słusznie boi się o Maggie. Na wychodzącą z samolotu aktorkę czeka snajper. W strzelaninie ginie opiekun panny Dalinsky, Jack. Odtąd nad jej bezpieczeństwem ma czuwać seksowny porucznik NYPD Kenneth Stanton. Jednak nie sam. W kolejce do ratowania życia Maggie staje także przystojny ochroniarz „Lucky” Gambini. Mężczyźni razem postarają się utrzymać ją przy życiu. Niezależnie od siebie spróbują także zdobyć jej serce.

**ROMANS Z MOTYWEM HATE-LOVE Z AMERYKAŃSKĄ GWIAZDĄ FILMOWĄ, NOWOJORSKIM GLINIARZEM I TAJEMNICZYM OCHRONIARZEM W ROLACH GŁÓWNYCH!**

### Patroni medialni:



© CUTE  
©© SENSUAL  
©©© SPICY  
©©©© DARK

